

ARTUR  
ZUREK

STRZY  
GOŃ

*Udręczonym*

Copyright © 2023 ARTUR ŻUREK  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW  
Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ  
Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia wykorzystana na okładce:  
SVETLANA SEWELL / ARCANGEL

WYDANIE I  
ISBN 978-83-66328-82-2



Wydawnictwo INITIUM  
[www.initium.pl](http://www.initium.pl)  
e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)  
[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)  
Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

# ARTUR ZUREK

# STRZY GOŃ

*Zło to nie zdarzenie, które cię spotyka,  
lecz to, co robisz z tym zdarzeniem.*

Epiktet



KRAKÓW 2023



# PROLOG

– *VINDEX, TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ* –

Nie jest prawdą, że najbardziej pamięta się pierwszy raz. Vindex bardzo wyraźnie, ze wszystkimi szczegółami, pamiętał zarówno drugi, trzeci, czwarty, jak i wszystkie kolejne. W końcu nie było ich tak dużo jak na dwudziestosześcioletniego mężczyznę. Dzisiaj zrobi to dopiero po raz siódmy. Usprawiedliwieniem dla tak skromnych osiągnięć było to, że zaczął raptem cztery lata temu, a każdy kolejny raz wymagał odpowiednich i długotrwałych przygotowań. W końcu nie wszyscy zasługiwali na jego względy i bliską znajomość. Przede wszystkim to on musiał dokonać wyboru. Nie interesowały go przypadkowe osoby. Zaczynał od zebrania plotek i pogłosek. Jeżeli były zachęcające, sprawdzał je. Po potwierdzeniu zbierał dalsze informacje. To już były prawdziwe zalety. Tylko że to nie on przedstawiał swoje wdzięki. To wybrana osoba, nawet nie będąc świadoma swojej roli, musiała mu przypaść do gustu. Najbardziej cenił pełne zatrącenie w grzechu i niezłomność w czynieniu zła. Tylko takie osoby mogły liczyć na jego zainteresowanie. Potrzebował tygodni, żeby się upewnić w decyzji. Następnie przechodził do planowania. To był najtrudniejszy etap. Im ktoś bardziej mu się podobał, tym bardziej pierwsze, a zarazem ostatnie spotkanie musiało być

nie tylko skuteczne, lecz wręcz artystyczne. Dbał, by nie był to tylko zwykły akt. Łączył sztukę z rzemiosłem. To pierwsze było w pewnym sensie hołdem, uznaniem dla wybranej osoby, potwierdzeniem jej wyjątkowości. To drugie oznaczało bezbłędną realizację, brak śladów, a tym samym bezkarność. Tylko idealna równowaga pomiędzy artyzmem a perfekcją dawała mu spełnienie oraz motywację do dalszego działania.

Właśnie rozpoczął siódmą randkę niespodziankę. Tylko on o tym wiedział. Wybrana osoba dowiadywała się bezpośrednio przed finałem albo pozostawała nieświadoma do końca. Nie wiedział, jak będzie dzisiaj. W każdym razie nikt i nigdy nie mógł odrzucić jego zaproszenia. Tylko on decydował o tym, kto, kiedy i jak.

Spojrzął na zegarek. Dwudziesta trzecia trzydzieści dwie. „Czas nadszedł”, pomyślał. „Zaraz się pojawi”. Włączył silnik i wolno podjechał do najbliższego skrzyżowania. Nie pomylił się. Zaparkował obok szczupłego mężczyzny przestępującego z nogi na nogę. Przez ramię miał przewieszony mały plecak. „Jesteś punktualny”, w myślach wyraził uznanie. Wysiadł z samochodu.

– Pan Kamil? – zapytał i otworzył tylne drzwi wectry.

– Tak.

– Włożę do bagażnika. – Wyciągnął rękę po plecak.

– Nie trzeba. Jest mały i lekki. – Mężczyzna usadowił się na tylnym siedzeniu.

To był najważniejszy moment. Teraz nie mógł niczego zepsuć. Zamiast zamknąć drzwi za pasażerem, pochylił się i powiedział:

– Pomogę z pasem.

– Co to znaczy? – Zanim mężczyzna zdążył zareagować, cienka igła wbiła się w jego odsłoniętą szyję. Zwiotczał, a głowa opadła mu bezwładnie na zagłówek.

„Teraz się prześpij”, Vindex powiedział w myślach. „Pamiętaj, że już pewnie nie będziesz miał okazji”. Zapiął i poprawił pas przytrzymujący pozbawionego świadomości mężczyznę. Niespiesznie zajął miejsce za kierownicą i skierował vectrę w stronę Zakroczymskiej. Prowadził zgodnie z przepisami. Wiedział, że pasażera zabrał w miejscu, w którym nie ma żadnej kamery monitoringu. Jednak teraz, na wszelki wypadek, nałożył maseczkę chirurgiczną. Skręcił w Wenedów, przeciął park Traugutta, wjechał na Wybrzeże Gdańskie i skierował się na północ Warszawy. Z tylnego fotela było słychać równy oddech. Było mu obojętne, czy mężczyzna żyje, czy nie. Gdyby to on był na jego miejscu, z pewnością wołałby się już nigdy nie obudzić. Dla swoich pasażerów przewidywał los, którego sam bał się najbardziej.

Pasażer nie ruszał się, ale Vindex wołał dłużej nie ryzykować. Nigdy nie miał pewności. Z etorfiną, którą wstrzykiwał, ciągle eksperymentował. Raz dawka była za duża, raz za mała. To zdecydowanie wymagało poprawy. Zatrzymał się na parkingu. Ręce i nogi mężczyzny spętał w kostkach trytytkami. Usta zakleił mocnym przyklepcem. Przed sobą miał jeszcze jakieś dwie godziny jazdy. Na razie wszystko szło zgodnie z planem i nie był zmęczony. Najgorzej było z numerem trzecim, którego musiał przewieźć aż z Przemysła. Numer piąty, z Torunia, był tylko małą przejażdżką.

Każda randka zaczynała się inaczej, ale zawsze kończyła tak samo i zawsze w tym samym miejscu. Na skraju Puszczy Bydgoskiej, niedaleko Rojewa, w domu odziedziczonym po dziadkach. Oczywiście puste siedlisko odpowiednio wcześniej przygotował i wyposażył. Najpierw rozważał postawienie kadzi z kwasem siarkowym, ale przeczytał, że w przeciwieństwie do tego, co twierdzą w filmach i powieściach kryminalnych, tak naprawdę nie ma możliwości pełnego rozpuszczenia zwłok. Do tego zapach, opary, konieczność odpowiedniego stroju ochronnego. Wolał wybrać prostsze rozwiązanie. Uważał, że takie są najlepsze. Pustą stodołę, która służyła mu też za garaż, przygotowywał przez wiele miesięcy. Wykopał w niej dziesięć dołów o głębokości dwóch metrów i średnicy sześćdziesięciu centymetrów. Do każdego wpuścił dwustulitrową beczkę po oleju. Beczki były trochę za małe, ale nie znalazł większych. Dlatego tylko w przypadku numeru czwartego i piątego udało się je zamknąć dekle, zanim zabetonował doły. Jeżeli ktoś się obudził w zamkniętej beczce, to tylko ci dwaj. Oni mogli umierać z pełną świadomością kończącego się tlenu. Pozostali albo zostali pogrzebani martwi po przedawkowaniu etorfiny, albo nieprzytomni dusili się, jak tylko świeży beton pozatykał im usta i nosy. Dzisiaj zapelni beczkę numer siedem. Już wie, kto będzie numerem ósmym, i niedługo zdecyduje o wyborze dziewiątego oraz dziesiątego. Na tym poprzestanie. Jedenastego nie będzie. Dziesięć, tyle lat była dręczona jego młodsza siostra. Dziesięć pełnych beczek dopełni zemsty. Nie martwił się, że zostanie złapany. Liczyło się tylko, aby nie nastąpiło to przed numerem dziesiątym. Nie



uważał się za sadystę. Chciał, żeby się budzili w zamknięciu żywi i umierali świadomie, ale nie to było jego celem. Najważniejsze, żeby znikali bez śladu, ku przestrodze innych, i żeby im podobni żyli w ciągłym strachu.

Numer z taksówkarzem wykorzystał dzisiaj po raz pierwszy. Nie wiedział, jak zbliżyć się do numeru siódmego, który był wyjątkowo ostrożny. Zapewne z każdym kolejnym wybrańcem będzie trudniej. Wieści się rozchodzą. Postanowił wykorzystać fakt, że siódemka dwa razy w tygodniu o dwudziestej trzeciej trzydzieści zamawia taksówkę przez aplikację. Zapewne wybierał najtańszą opcję, bo często podjeżdżały samochody nieoznaczone. Zhakowanie systemu, przejście zamówienia i wysłanie potwierdzenia z numerem vectry nie było dużym problemem. W końcu ostatnio został programistą, i to bardzo dobrym. Postanowił, że taki początek randki jest do powtórzenia. Zrobienie zastrzyku w taksówce było zdecydowanie pewniejsze niż usypianie kogoś na ulicy czy na parkingu, nie mówiąc o włamywaniu się do domu.

O czwartej rano, jeszcze przed wschodem słońca, numer siódmy został zabetonowany w beczce. W stodole pozostały jeszcze trzy wolne miejsca osłonięte deskami. Ostatnie zadanie, niejako zwieńczenie randki, to wysłanie wiadomości ze skrzynki mailowej z niemożliwym do wyśledzenia IP.

*Ekscelencjo, kolejny z Twoich podwładnych nie wytrzymał zła, które czynił. Zakończył swoją posługę. Już nigdy nie włoży sutanny. Z poważaniem, Vindex.*

Napisał, przeczytał i wysłał. Tym razem na adres archidiecezji warszawskiej. Odprężony, jeszcze raz rozejrzał się

po stodole. Poza świeżą plamą betonu, którą przykrył płytą paździerzową, nic nie rzucało się w oczy. Zajrzał do domu, posprawdzał zamki i okna. Nie było żadnych śladów, że ktoś wszedł tam pod jego nieobecność. Wziął prysznic i wskoczył do łóżka. Budzik zadzwonił trzy godziny później. Wypił mocną kawę i zjadł dwa batony, których większą liczbę trzymał zawsze w lodówce na wypadek odwiedzin w dawnym domu dziadków. Przed wyjściem spojrzął na swoje odbicie w zniszczonym lustrze, które miało ponad sto lat. Nie wyglądał jak stereotypowy programista. Szczupła, dziewczęca twarz. Czarne kędziory włosów w wiecznym nieładzie. Ciemne, melancholijne oczy. „Siostra, gdyby żyła, pewnie wyglądałaby jak ja”, pomyślał ze smutkiem. Pomimo diety opartej na węglowodanach oraz hektolitrach kawy i różnych energetyków miał sylwetkę wysportowanego nastolatka. Nie wiedział, czy był to bardziej wynik genów, czy też regularnych treningów aikido. Ta japońska sztuka samoobrony oparta na rzutach i dźwigniach odpowiadała mu bardziej niż sztuki walki wymagające dużej siły i mocnych ciosów.

Po kilku minutach Vindex siedział za kierownicą vectry. Zmierzał na południe Polski. Miał tam kolejne zadanie do wykonania. Zamierzał podjąć intensywne przygotowania do randki numer osiem.

– *WARSZAWA, DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ* –

Nadinspektor Piotr Cydzik, Komendant Główny Policji, spodziewał się kłopotów. Ponad trzydzieści lat służby nauczyło

go, że nagle wezwanie do przełożonego nigdy nie jest zapowiedzią czegoś dobrego. Tak też odebrał dzisiejsze polecenie przyjazdu na Batorego, na spotkanie z samym ministrem. Cztery i pół kilometra dzielące komendę przy Puławskiej od łososiowego gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji kierowca pokonał w sześć minut. Oczywiście bez bomb oznaczających pojazd uprzywilejowany w ruchu. Cydzik mógł sobie pozwolić na włączenie sygnałów świetlnych i dźwiękowych, ale nie chciał podpaść dziennikarzom. Nie tylko reporterzy, ale nawet przypadkowi przechodnie czasami polowali na wszelkie oznaki nadużywania pozycji i przywilejów władzy. Wiedział, że minister jest mu przychylny, ale po co dostarczać nawet najmniejsze haczyki na samego siebie. Komendant od dawna wyznawał zasadę: ciszej jedziesz, dalej zajedziesz.

Zameldował się regulaminowo. Minister w przeciwieństwie do komendanta był mizernej postury. Do tego, bardzo często w przyływie emocji drżała mu prawa powieka. Natychmiast wskazał nadinspektorowi jeden z dwóch stojących pod ścianą foteli, a sam odwrócony plecami do podwładnego stanął przy oknie. W milczeniu czekali, aż sekretarka ustawi filiżanki z kawą.

– Po koniaku – zarządził minister, zanim kobieta wyszła z gabinetu.

Po chwili obok filiżanek z kawą stanęły dwa kieliszki i karafka z grubego szkła. Ciemnomiodowy płyn wyglądał kusząco, ale Cydzika ogarnęły najgorsze przeczucia. „Pewnie zaraz się dowiem, że czas na zmiany”, pomyślał. „A co tam, jakoś sobie poradzę i na emeryturze”.

– Wiesz, po co cię wezwałem? – Minister nie odrywał wzroku od szyby. Jego głos był monotony, pozbawiony emocji. – Domyślasz się?

– Nie, panie ministrze, nie wiem. – Pomimo bruderszaftu wypitego po ostatnim awansie komendant nigdy nie pozwalał sobie na formę „ty” w stosunku do ministra.

– Ale nie zapomniałeś, jaka jest twoja rola?

– Nie rozumiem...

– No właśnie, tego się obawiałem, że nie do końca rozumiesz.

Cydzik wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mundurowej białą chusteczkę i wytarł pot z czoła.

– Nie bój się, nie odwołuję cię. – Minister z pewnością obserwował odbicie komendanta w szybie. – Jeszcze nie. Jednak musisz zrozumieć, że twoją główną rolą jest zapewnienie mi spokoju. Jeżeli ja mam spokój, to premier nie czepia się mnie, a ja ciebie. Jeżeli premiera się czepiają, to on mnie, a ja ciebie. Teraz rozumiesz?

– Tak jest. – Cydzik odetchnął i spojrzał łączywie na karafkę i filiżankę. Jednak nie ośmielił się na wypicie nawet małego łyka kawy.

– To dobrze. – Minister skrzyżował ręce na piersi. Nieustannie bujał się na piętach. – To powiedz mi, dlaczego premier odbiera telefony z Miodowej, a nawet z Gniezna, nie mówiąc o tych z Torunia? Powiedz mi, co jest przyczyną, że premier pyta się mnie, dlaczego nie zapewniam mu spokoju? Dlaczego narażam go na te nieprzyjemne rozmowy? Co mam mu odpowiedzieć?

– Czy chodzi o tych kilku księży, którzy zaginęli? – Komendant zaczynał czuć grunt pod nogami.

– Nie kilku, tylko siedmiu. Już siedmiu, kurwa! – Minister gwałtownie odwrócił się w stronę komendanta. – Nagle się rozplynęli! Wytłumacz mi to!

– Siedmiu księży, w siedmiu różnych miejscach w Polsce, w przeciągu ostatnich trzech, prawie czterech latach zniknęło. To raptem siedmiu z ponad dwudziestu czterech tysięcy, nie licząc ośmiu tysięcy zakonnych. Ułamek procenta. – Komendant próbował faktami uspokoić ministra. – W końcu wielu ludzi zaczyna nowe życie. Dlaczego niektórzy księża nie mieliby robić tego samego?

– Co zrobiłeś, żeby wyjaśnić tę sprawę? – Minister gładko wrócił do poprzedniego tonu. Powieka nawet mu nie drgnęła, co mogło sugerować, że tylko manipulował ekspresją. – Co możesz powiedzieć oprócz podawania danych statystycznych? Masz jakiś plan?

– Tak jak ostatnio rozmawialiśmy, uczuliłem wszystkie komendy na takie przypadki. Natychmiast dostaję raport, jeżeli tylko jest zgłoszenie zaginięcia księdza. Według mnie te sprawy nie mają ze sobą żadnego związku. Ci księża chyba nawet się nie znali.

– Co ty pieprzysz? Naprawdę sądzisz, że nikt za tym nie stoi? Jakiś świr albo jakaś organizacja? – Minister zbliżył się do komendanta. Ręką nakazał mu, żeby nie wstawał. Dzięki temu nie musiał zadzierać głowy, żeby spojrzeć komendantowi w oczy.

– Dokładnie przeanalizowałem te siedem zgłoszeń. Nawet dwanaście, ale w pięciu przypadkach zaginieni się znaleź-

li. Zwykle ludzkie słabości odciągnęły ich od służby na rzecz parafian...

– Tylko bez ideologii. – Minister wziął z biurka bordowe teczki i podał komendantowi. – A to? Jak to wyjaśnisz?

Nadinspektor w milczeniu przestudiował siedem kartek, wydruków maili adresowanych do siedmiu różnych biskupów.

– Nie wiedziałem o tym. Nikt nigdy nie zgłaszał policji otrzymania takich wiadomości. Dlaczego?

– Co dlaczego? Dlaczego nie widziałeś? – Minister wykrzywił usta w grymasie, który mógł być odebrany jak cyniczny uśmiech. – Bo nikt, a już z pewnością biskupi, nie chce rozgłosu. Gdyby to zgłosili, to wiesz lepiej ode mnie, że któryś z twoich orłów za parę groszy zrobiłby natychmiast przeciek do telewizji albo jakiejś gazety. Wszystkie media miałyby używanie... Po co to komu? Nie wystarczy problemów?

– To zmienia całkowicie obraz. Natychmiast powołam grupę, która... – Cydzik nie dokończył.

– Ty naprawdę nie słuchasz! – Minister przerwał brutalnie. – Żadnych specgrup, żadnych komunikatów, żadnych konferencji, żadnych fleszy. Rozumiesz?

– Jak z tymi uchodźczyniami... – Cydzik spuścił głowę. – Też mam...

– Kiepskie porównanie. Ani mnie, ani nikogo poza jakimś nawiedzonymi aktywistami nie obchodzą zaginione mużulmanki, które ktoś podobno zgwałcił w lesie na jakimś zadupiu. Nikt nawet nie policzy tych przyłączących z Białorusi. Oczywiście, lepiej tego nie nagłaśniać i nie szukać sprawców

zbyt ambitnie. Nikomu nie jest potrzebny proces jakichś jur-  
nych chłopaków z pogranicza. Dobrze, że to wyciszasz.

– Dziękuję, panie ministrze. – Komendant przełknął ślinę.

– Jednak co innego z tym bajzlem. Za duże naciski. Mu-  
sisz znaleźć tego Vindexa.

– Tak jest!

„Gdybym od samego początku wiedział o mailach, pew-  
nie już dawno bym go znalazł”, pomyślał. „Nie byłoby sied-  
miu zaginięć”.

– Tak, musisz go wykryć i namierzyć. Jak znajdziesz, to  
zdecyduję, co z nim dalej. – Na moment ich wzrok się spo-  
tkał. – Głośny proces może nie być w niczym interesie...

– Dziwnie się nazwał. – Cydzik wołał zmienić temat. Nie  
chciał usłyszeć z ust ministra czegoś, na co nie będzie mógł  
się zgodzić.

– Mściciel. *Vindex* po łacinie to mściciel – wyjaśnił minister  
i dokończył poprzednią myśl: – Zresztą, jak będzie odpowiedni  
sprawca, taki, który spodoba się ludowi, czyli premierowi, to zro-  
bimy wielki proces, a ty będziesz bohaterem. Ja zrobię to, co lubi  
premier, bo to, co on lubi, jest dobre dla kraju. Mam rację?

– Oczywiście. Ten podpis, mściciel, to wiele mówi. Mamy  
motyw, zemstę. To już jest trop. – W komendancie odezwał  
się stary policjant, którym był do czasu, aż nie zaczął zajmo-  
wać politycznych stanowisk. – Nadam najwyższy priorytet.  
Potrzebna będzie mobilizacja wszystkich sił i środków, odpo-  
wiedni zespół powołam na szczeblu...

– Dość! – Minister usiadł naprzeciwko komendanta. –  
Już mówiłem, to ma być po cichu. Po cichu!

– Obawiam się, że wtedy znalezienie tego Vindexa zabierze znacznie więcej czasu. Już go dużo zmarnowaliśmy, nie wiedząc o mailach...

– Też mnie to martwi, ale bardziej się boję, że ta sprawa jest zbyt delikatna dla ciebie. Jesteś tylko gliną. Zwykłym psem. Potrzebny jest ktoś lepiej rozumiejący wszystkie niuanse. Bardziej samotny wilk niż wytresowany pies.

Nadinspektor zamarł w oczekiwaniu na decyzję o odwołaniu. „Cholera, po co tyle gadałem, trzeba było czekać na instrukcje”, pomyślał.

– Mam takiego człowieka. Duże doświadczenie, nie tylko policyjne. Potrafi działać kreatywnie i nie jest szablonowy, jak ty. Po prostu rozsądny i stuprocentowo lojalny. Swój człowiek.

Minister przez chwilę przyglądał się strużce potu wypływającej spod grzywki na twarz komendanta.

– On nie jest na twoje miejsce. – Rozwiał obawy Cydzika. – On się zajmie tylko tą sprawą. Dasz mu wszelkie niezbędne pełnomocnictwa, dostępy i będziesz mu udzielał pomocy, jeżeli to będzie potrzebne. Jasne?

– Tak jest.

– Tylko nie próbuj mu przeszkadzać. Jeżeli on nie da rady, to z pewnością nie ty będziesz to kontynuował. Jego sukces jest w twoim interesie. Nie obawiaj się, on nie jest zainteresowany stołkiem w policji.

– Tak jest!

– No to sobie wszystko wyjaśniliśmy. – Minister podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i powiedział: – Jest już? To niech wejdzie.



Po kilku sekundach pewnym krokiem do pokoju wszedł mężczyzna w skórzanej marynarce.

– Komendanta Cydzika nie muszę przedstawiać. – Minister skrzywił się w uśmiechu. – A to jest...

– Kowalski, Jan Kowalski – powiedział nieznajomy.

– Tak, dokładnie tak. – Minister wstał, a zaraz za nim komendant. – Skoro już się panowie poznali, to do roboty. Chyba że macie jakieś pytania?

Pokręcili głowami. Człowiek w marynarce odwrócił się pierwszy, otworzył drzwi, poczekał chwilę i przepuścił nadinspektora Cydzika. Na stoliku pozostała zimna, nietknięta kawa i koniak.

# DZIEŃ PIERWSZY

## 1

*Mechanicy zespołu CarPoint ustawili bolid na polu startowym. Marķ Kolsky trzeci raz z rzędu w tym sezonie miał pole position. Poprawił kominarkę na twarzy i wyciągnął rękę po kask. To był ich rytuał. Odķąd zaczął się ścigać, czyli od dwunastu lat, odprowadzała go z paddocku na linię startu. Eva, starsza siostra, zawsze niosła jego kask i rękawiczki.*

*– Jesteś pewien, że dzisiaj jest ten dzień? – zapytała, podając biało-zielony hełm.*

*– Tak, jestem. – Marķ dłużej niż zwykle popatrzył w oczy siostrze. Był pewien, że dostrzegł w nich zrozumienie. Smutku nie zauważył... albo nie chciał go widzieć.*

*Nasunął kask, poprawił zapięcie i potrząsnął głową, żeby sprawdzić, czy nie jest zbyt luźny. Włożył rękawiczki.*

*– Zrób, co musisz. Szybko i bezbłędnie. – Ucisnęła jego rękę. – Powodzenia.*

*Kolanem kōpnęła go lekko w tyłek. Na szczęście. Nigdy o tym nie zapomniała. Wskoczył do bolidu. Pięćset kōni mechanicznych obudziło się do życia. Opuścił szybę kasku. Pewnie złapał kierownicę. Mechanicznie, bez najmniejszych emocji przejechał okrężenie rozbiegowe i ponownie zajął miejsce na polu startowym. Teraz już widział tylko czerwone światła, które zaraz zgasną, i ruszy wyścig Formuły 2 na torze Circuit de Barcelona-*

*-Catalunya. Wystartował błyskawicznie, natychmiast zaczął zyskiwać przewagę nad pozostałymi kierowcami. Jechał bezbłędnie. Jego tor jazdy był idealny. Po dwunastu okrążeniach miał już niemal dziesięć sekund przewagi nad drugim w stawce Frederikiem Martinellim. Była to bezpieczna odległość, zwłaszcza że Włoch słynął z błyskawicznego refleksu, a między nimi jeszcze nie było zdublowanych zawodników. W zakręt piętnasty, przedostatni, Mark wszedł z prędkością około stu kilometrów na godzinę, wyszedł, zbliżając się do stu trzydziestu. Łagodną szesnastkę pokonał bez hamowania i odejmowania gazu. Cały czas przyspieszał. Na początku prostej startowej miał już ponad dwieście. Po dziewięciuset metrach bolid był rozpędzony do trzystu kilometrów na godzinę. Czas na ostre hamowanie, redukcję czterech przełożeń w dół i zmniejszenie prędkości o połowę. Mark jednak nie reagował. Nic nie zrobił. Nawet nie ruszył kierownicą. Zupełnie jakby na końcu prostej nie było skrętu w prawo. Przy pełnej prędkości uderzył czołowo w bariery ochronne. Przy takiej sile uderzenia, nawet przy najlepszych zabezpieczeniach, sto litrów wysokooktanowej benzyny musiało eksplodować. Płomienie ogarnęły martwego już Marka. Frederico i pozostali kierowcy bez problemu omijali rozrzucone po torze szczątki bolidu CarPoint...*

Ze złością zamknął laptop. Westchnął. Założył ręce za głowę i odchylił się na oparciu fotela. Jedyne mebla, który zabrał ze swojego mieszkania w Warszawie. Po raz kolejny poczuł przypływ fali nienawiści do miejsca, w którym się znalazł, jak i do samego siebie. Przed siedmioma miesiącami z dwoma walizkami i niedużą sportową torbą zjawił się w Przybagniu. Jak szybko się przekonał, miejscu zapomniana-

nym przez Boga, ale nie przez ludzi. Przed sobą miał perspektywę jeszcze kolejnych jedenastu miesięcy. Prawie rok na zadupiu, które było bardziej adresem niż prawdziwą wsią. Pewnie przez lata o tym terenie miejscowi mówili *przy bagnie*. Kiedy pojawiły się siedliska i trzeba było nadać oficjalne adresy, zrodziło się Przybagnie. Najbliższa namiastka cywilizacji, ze sklepem pełniącym jednocześnie funkcję poczty, małą drewnianą cerkwią, a co najważniejsze, ze stacją bazową GSM, była oddalona raptem o kilka kilometrów. Był to jednak dystans w linii prostej prowadzącej przez niebezpieczny bagienny bór. Dojazd drogą okrążającą zdradliwe trzęsawiska stanowił wyzwanie dla rowerzysty, a często również dla samochodów. Zwłaszcza zimą i podczas coraz częstszych burz i obfitych deszczy. Najważniejsze, że telefonia komórkowa i internet przeważnie działały bez zarzutu.

Niecałe cztery godziny samochodem od Warszawy, dwie od Lublina, życie było zupełnie inne, a przynajmniej takie powinno być. Lekko już zapomniany i od dawna niedoceniany pisarz Henryk Zamroz nie do końca sam zdecydował o zamieszkaniu na tym odludziu. Okolica kojarzyła mu się z *Potopem* Sienkiewicza, z kryjówką braci Kiemliczów ukrytą wśród przepastnych i niedostępnych bagien. Ze swoją przymusową pustelnią wiązał jednak spore nadzieje. Przede wszystkim chciał odpocząć od ludzi, uciec od hałasu i wyciszyć się. Po drugie, zamierzał po kilku latach udawanego pisania dokończyć powieść, która przywróci mu miniony blask i miejsce na literackich salonach. Niestety ani spokoju, ani samotności nie znalazł w Przybagniu. Od przyjazdu nie napisał nawet pięćdziesięciu stron. Odgłosy lasu rozpraszały

go nie mniej niż hałasujący sąsiedzi w warszawskiej kamienicy na Mokotowskiej. Nieliczni współmieszkańcy Przybagnia, których zupełnie się tu nie spodziewał, samą swoją obecnością skutecznie odciągali Zamroza od pisania.

Podrapał się po lewej łydce. Ponownie otworzył laptop. Przebiegł oczami po niedokończonym tekście, nabrał powietrza, jakby miał zanurkować. Nie zdążył dotknąć klawiszy i napisać kolejnego słowa. Najpierw usłyszał skrzywienie desek podłogowych na korytarzu, a po chwili stukanie do drzwi.

– Proszę! – Nie chciało mu się wstawać, żeby otworzyć.

– Zje na dole czy u siebie? – Przez ledwo uchylone drzwi wsunęła się głowa kobiety w nieokreślonym wieku. Polina mogła mieć sześćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt lat. Jej ubiór też nie pomagał w określeniu metryki. Bardzo rzadko można ją było zobaczyć w czymś innym niż w obszernym kwiecistym fartuchu zakrywającym równie obszerną szarą spódnicę i podobną w kolorze bluzkę bądź cienki sweter. Siwe włosy, raczej bez związku z pogodą, często zasłaniała wełnianą chustą o żółto-zielono-czerwonych motywach roślinnych.

– U siebie...

– Jak chce – westchnęła. – Opieńkowa jest.

– Jednak zejść. – Zamroz zmienił zdanie. Opieńkowa była jego ulubioną zupą i z pewnością będzie miał ochotę na solidną dolewkę. Wiedział, że Polina oszczędza swoje siły i nigdy nie wnosi do pokoju na piętrze wazy z zupą. Ogranicza się do talerza i półlitrowego emaliowanego kubka napelnionego zupą tylko w niecałych dwóch trzecich.

– Letnicy wrócą później – dodała. Wiedziała, że *piśmien-  
nik* lubi jeść bez towarzystwa. – Tak powiedzieli. Odgrzewane  
zjedzą.

– Już schodzę. – Zamroz zrozumiał aluzję.

Jak przewidział, zjadł dwa pełne talerze zupy i sześć  
kartaczy wypełnionych kapustą. Pogładził wyraźnie rosnący  
brzuch. Uśmiechnął się szeroko do Poliny, która przygląda-  
ła mu się oparta o futrynę drzwi do kuchni. Skinęła głową  
i zniknęła. Po chwili wróciła i postawiła przed nim kawę  
w białym fajansowym kubku oraz dużą porcję korowaja, cia-  
sta drożdżowego. Zanim zdążył pochwalić obiad, wzruszy-  
ła ramionami i wyszła bez słowa. Wypił łyk kawy i cmoknął  
z uznaniem. Dopiero po miesiącu od sprowadzenia kawiarki  
do Przybagnia udało mu się przekonać Polinę do szatańskiego  
czajnika. Pomimo początkowego oporu niemal od razu parzy-  
ła znakomitą kawę. Wszystko, czego się dotknęła w kuchni,  
zasługiwało na największy podziw. Zamroz niewiele wiedział  
o tej kobiecie i zupełnie się nią nie interesował. Wystarczyło  
mu, że świetnie gotuje, nie wchodzi do pokoju bez pukania,  
pierze i prasuje jego ubrania oraz bieliznę. Przyzwyczaił się  
nawet do dziwnego zapachu swojej garderoby. Zapewne ko-  
bieta oprócz proszku stosowała jakieś zioła. Kiedyś zapytał  
o to, ale tylko wzruszyła ramionami.

Pił kawę małymi łyчками. Przymrużył oczy, jak zado-  
wolony kot. Z kieszeni wyjął klasyczną piersiówkę firmy Le-  
opold. Dwieście siedemdziesiąt mililitrów było wystarczającą  
pojemnością na krótkie spacerunki i jednocześnie na tyle małą,  
że piersiówka nie wypychała ubrań. Na nierdzewnej stali

widniał wygrawerowany niewielki napis *Henrykowi*. W Warszawie napełniał leopolda hiszpańską brandy. W Przybagniu wlewał sześćdziesięcioprocentowy bimber, w który zaopatrywał go Roman, na którego głowie było niemal wszystko poza gotowaniem. Naprawiał, konserwował, starą niwą jeździł do cywilizacji po zakupy, pędził bimber i zapewne kłusował. Widoczne na twarzy blizny po oparzeniu nadawały mu dosyć ponure oblicze, niezależnie od prawdziwego nastroju. Podobnie jak Polina, mężczyzna był przeważnie tak samo ubrany. Kraciasta koszula flanelowa i drelichowy kombinezon roboczy. Zamroz zakładał, że Roman jest synem, a może wnukiem gospodyni. Jego wiek też był trudny do określenia. Na pokrewieństwo wskazywało to, że Polina i Roman mieszkali razem w starym domu na skraju boru. Ponieważ z domu do pensjonatu był ponad kilometr, mieli też do swojej dyspozycji w Strzygoniu tak zwane mieszkanie służbowe.

Zanim zaatakował Covid-19, kiedy wzdłuż wschodniej granicy nie było jeszcze strefy stanu wyjątkowego, a na Ukrainie nie toczyła się wojna, Strzygoń był prężnie działającym małym pensjonatem. Oryginalny drewniany budynek dużej plebanii niedaleko Suwałk został pieczołowicie rozebrany, opisany i przewieziony do Przybagnia, gdzie pewien warszawski prawnik nieoczekiwanie odziedziczył siedlisko. Dawna plebania, po adaptacji wnętrza, pomieściła na parterze kuchnię ze sporą spiżarnią, dużą jadalnię na kilkanaście osób, a nawet salonik z kominkiem i czterema wypoczynkowymi fotelami. Na piętrze urządzono pięć gościnnych pokoi oraz jeden dla właściciela. Dawna stodoła została zamieniona

po części w gospodarski warsztat, a po części w mieszkania służbowe dla personelu. W szczycie przedcovidowych sezonów w Strzygoniu pracowało sześć osób. Roman z Poliną, dwie kelnerki, jednocześnie pokojówki, oraz dwie kucharki. Po niemal trzech latach bezustannego kryzysu właściciel przestał przyjeżdżać i doglądać swojej inwestycji, kelnerki-pokojówki oraz kucharki straciły pracę. Roman i Polina, otrzymujący skromne wynagrodzenia, dbali przede wszystkim, aby nieruchomość nie popadła w ruinę, zanim czasy nie zmienią się na lepsze. Z sześciu pokoi obecnie zajęte były dwa skrajne, co zapewniało gościom pewną prywatność. We wschodnim od siedmiu miesięcy rezydował Henryk Zamroz. Zachodni na dwutygodniowy urlop zajęła para zwana przez Polinę „letnikami”. Przyjechali cztery dni temu czarną toyotą RAV-4 na krakowskich numerach. Przedstawili się jako Katarzyna i Krzysztof Markowscy. On około czterdziestoletni, wysoki, wysportowany, krótko ostrzyżony blondyn. Ona przynajmniej dziesięć lat młodsza. Brunetka, również krótko ostrzyżona, o figurze instruktorki fitness. Większość czasu spędzali poza Strzygoniem. Na rowerach, które przywieźli ze sobą, zwiedzali okolicę, a przede wszystkim utrzymywali swoje ciała w formie. Zamroz zauważył, że nie noszą obrączek, co mogło wskazywać, że są parą kochanków, którym udało się zostawić małżeńskie połowy i bezpiecznie zaszyć się w miejscu, gdzie nie mają znajomych. Jednak jak na kochanków okazywali sobie nawzajem zbyt mało czułości. Nie dostrzegł, żeby trzymali się za ręce, całowali czy wymieniali pożądliwe spojrzenia. Poza kilkoma zdawkowymi zdaniami o pogodzie i przysma-



kach lokalnej kuchni Zamroz nie miał okazji porozmawiać z Markowskimi. Nie po to przyjechał do Przybagnia, żeby szukać kontaktu z obcymi ludźmi. Wystarczy, że ich tolerował, chociaż miał wielką nadzieję, że będzie jedynym gościem Strzygonia. Obiecywano mu samotność.

– Była tutaj Kasia? – Męski głos rozniósł się po całej jadalni.

„Markowski. Dobrze, że zdążyłem zjeść i wypić kawę”, pomyślał Zamroz i już miał wrócić do pokoju, ale coś w zachowaniu letnika go zaniepokoiło.

– Była? – Nie czekając na odpowiedź, Markowski wbiegł po schodach na piętro. Wrócił po kilkudziesięciu sekundach. – Nie ma jej...

– Nie widziałem, żeby pani Katarzyna wróciła z wycieczki... – Henryk zawahał się. – Nie byli państwo razem? Widziałem, że razem wyjechaliście.

Markowski sięgnął po telefon komórkowy, wybrał połączenie i przyłożył aparat do ucha. Zapewne nikt nie odebrał, bo po kilkunastu sekundach schował smartfon do pokrowca na ramieniu. Jego wzrok był nieobecny. Machnął ręką zrezygnowany i oświadczył:

– Nie ma jej. Zniknęła.

– Nie rozumiem. – Zamroz uniósł brwi.

Markowski odsunął krzesło i ciężko usiadł na wprost Henryka. Oparł łokcie na drewnianym stole na dwanaście osób, pozostałości po dobrych dla Strzygonia czasach. Pochylił się i umieścił głowę w dłoniach. Przymknął oczy i wyszeptał:

– Jestem skończony...

Zamroz wstał, podszedł do rustykalnego kredensu. Zdjął z półki dwa duże kieliszki z grubego szkła, kojarzące się z war-

szawskimi knajpami na starych filmach. Postawił je na stole i napełnił do połowy. Jeden przesunął w stronę Markowskiego, a z drugim w ręce zajął miejsce w pewnym oddaleniu, po skosie stołu. Lubił utrzymywać dystans od ludzi. Zarówno fizyczny, jak i emocjonalny. Doświadczenie nauczyło go, że skracanie jednego bądź drugiego prowadzi do kłopotów. Czasami bardzo poważnych. Niestety, z zamiłowania był też obserwatorem i manipulatorem ludzkich zachowań. Taka pasja nie pozwalała mu trzymać się całkowicie z dala tak od ludzi, jak i od kłopotów.

– Jak powtarza nasz Roman, na frasunek dobry trunek... – Z uniesionym kieliszkiem czekał na Markowskiego, który zdawał się być obecny tylko ciałem.

– Dziękuję. – Otworzył oczy i uniósł głowę. Nagle, szybkim ruchem złapał kieliszek i łapczywie wypił połowę. Zakrztusił się i z trudem łapał powietrze.

– Mocne. Mogłem uprzedzić. – Zamroz powstrzymał się od śmiechu. – Już w porządku? Lepiej? Co się wydarzyło?

– Pojechaliśmy jak zwykle. Po śniadaniu, koło dziesiątej...

– To wiem. Widziałem z okna. – Zamroz przerwał z irytacją w głosie. – Codziennie widzę, a przede wszystkim słyszę, jak wyjeżdżacie...

– No tak... Dojechaliśmy do szosy, potem zjechaliśmy w prawo, na tę drogę przez las. Mieliliśmy dotrzeć do tego słynnego obozu dla narkomanów i innych zagubionych, zobaczyć, co to jest. Byliśmy ciekawi...

– Też słyszałem o obozie. – Henryk ponownie przerwał. Żałował, że nie poszedł do pokoju, zamiast słuchać bezsensownej gadaniny.

– To jest kawałek, a chcieliśmy wrócić na obiad, więc narzuciłem szybkie tempo. Może zbyt duże? – Markowski popatrzył na Zamroza, jakby czekał na jego zaprzeczenie lub potwierdzenie.

– Wydaje mi się, że pani Katarzyna jest w bardzo dobrej formie. – Henryk uniknął odpowiedzi wprost. Przypomniało mu się, że Polina wiedziała, że będą później. Zostawił to dla siebie.

– Tak, w doskonałej, ma kondycję nie gorszą od mojej. Jednak dzisiaj nie czuła się dobrze i zostawała z tyłu. Najpierw zatrzymywałem się i czekałem, aż dojedzie, ale takie szarpane tempo mnie denerwowało. Puściłem Kasię przodem, ale ona jeszcze bardziej zwalniała. Byłem pewien, że robi to celowo. Zupełnie jakby nie chciała, żebyśmy dojechali do obozu. Trochę się posprzecaliśmy. Nacisnąłem na pedały. Po kilku minutach się odwróciłem, ale Kasi nie było za mną. Poczekałem trzy, może cztery minuty i zadzwoniłem do niej. Nie odbierała. Zawróciłem. Nie było jej. Najpierw jechałem wolno i się rozglądałem. Potem pomyślałem, że obrażona wróciła do Strzygonia. Przyspieszyłem, bardzo przyspieszyłem. Dojechałem do szosy. Kasi nie było, zadzwoniłem kilka razy i przyjechałem tutaj. Boję się, że coś się stało. Gdzie ona może być?

– Pewnie niedługo się zjawi. Ochłonie, zgłodnieje i przyjedzie.

– A jeżeli nie? – Markowski wycelował palec wskazujący w Zamroza, jakby chciał go oskarżyć o zaginięcie żony.

– To była tylko sprzeczka, kłótnia czy coś więcej? – Pisarz ostentacyjnie przejechał wzrokiem po wyraźnie widocznych zadrapaniach na przedramionach i lewym policzku Markowskiego.

– Sprzeczką. Trochę dąsów... – Mężczyzna wychwycił spojrzenie Henryka. Potarł policzek i spuścił wzrok. – Zatrzymałem się kilka razy i wchodziłem w krzaki, żeby zobaczyć, czy Kasi gdzieś nie ma. Gałęzie mnie podrapały.

– W krzaki?

– Tak. Przecież mogła się wywrócić i zaplątać w krzakach albo schować. Las jest gęsty. Musiałem sprawdzić.

– Pewnie tak. W sumie to nie moja sprawa. – Zamroz podniósł się z krzesła.

– Chwileczkę! – Markowski wykonał ruch, jakby chciał rozmówcę zatrzymać siłą. – Proszę mi pomóc. Błagam!

– Niech pan da spokój. Proszę lepiej zadzwonić do żony, może już odbierze. – Zamroz odruchowo zrobił krok do tyłu. – Zresztą, co ja mógłbym zrobić?

Markowski wybrał połączenie i przestawił telefon na tryb głośnomówiący. Po pięciu sygnałach się rozłączył.

– Może nie naładowała baterii – podsunął Zamroz. – Zdarza się, a pan się niepotrzebnie denerwuje.

– Proszę mi pomóc jej szukać albo lepiej zadzwońmy od razu na policję. – Markowski podszedł do okna i wyjrzał na podwórko. – Może ten konserwator...

– Roman.

– Tak, Roman, może pójdzie z nami. Zna najlepiej teren. Kucharka...

– Polina.

– Tak, Polina. Będzie tutaj czekać i da nam znać, gdyby Kasia przyjechała do Strzygonia.

– Teren jest duży, ale może pan z Romanem jeszcze raz poszukać wokół drogi, którą jechaliście. Chociaż według mnie to jest bez sensu. – Zamroz spojrział badawczo na Markowskiego. – Ja zostanę tutaj. Jeżeli zjawi się pana żona, zadzwonię do Romana. Myślę, że Polina nie ma komórki, zapewne nie umiałaby się nią posługiwać.

– Myślałem, że lepiej będzie we trzech szukać... – Markowski urwał i potarł skronie. – To jest logiczne. Zostań, ale zadzwoń na policję! Przepraszam, proszę zadzwonić, pan, niech pan zadzwoni. Nie jesteśmy po imieniu. Przepraszam.

– Możemy być. Będzie wygodniej. – Zamroz nie zdążył się ugryźć w język i wbrew sobie przeszedł na „ty”. – Henryk.

– Krzysztof. – Markowski wyciągnął rękę. – Przepraszam, denerwuję się. Zadzwonisz na policję?

– Nie przepraszaj. – Pisarz zignorował podaną dłoń. – Na zgłaszanie policji trochę za wcześnie. Jeszcze poczekajmy. Zadzwonię do Romana, żeby przyszedł do nas.

Markowski wpatrywał się w Henryka i przekładał swój aparat z ręki do ręki.

– Nie odbiera. Dziwne.

Zamroz włożył smartfon do kieszeni spodni i wyszedł na zadaszony ganek.

– O! Polina jest. – Podeszedł do kobiety niosącej bezgłową kurę. – Romana szukałem. Gdzie on może być?

– A co ja go pilnuję? Ma swój rozum. Dorosły jest. Pewnie coś robi i zajęty jest. – Zatrzymała się kilka metrów przed mężczyznanami na ganuku. Z bezgłowej kurzej szyi krew kapła na wydeptaną ziemię. Lepka plama szybko się powiększała. – Od tyłu wejść, bo nabrudzę.

– Nie odbiera telefonu – powiedział Henryk już tylko do pleców kobiety.

– A Kasi, mojej żony, nie było po drodze?! – zawołał Markowski.

– Burza będzie. Przyjdzie! – Polina zdążyła odkrzyknąć i zniknęła za rogiem niegdysiejszej plebanii.

– Kto przyjdzie? Kasia? – Krzysztof spojrział na Zamroza.

– Ciężko za Poliną nadażyć. Może Roman przyjdzie, a może burza? – Pisarz spojrział w niebo. – Po co zabiła kurę po obiedzie? Przecież nic z niej nie zrobi na kolację.

– Co tam kolacja! Co robimy z Kasią?

– My? – Pisarz uniósł brwi. – Ja idę do siebie. Może w końcu uda mi się pobyć tylko ze sobą i własnymi sprawami.

– Przecież ustaliliśmy...

– Nie ma Romana. Możesz na niego poczekać albo możesz sam pochodzić lub pojeździć trochę po okolicy. Będę przy oknie. Dam znać, jeżeli twoja żona się pokaże.

– To przynajmniej wymieńmy się numerami – zaproponował przytomnie Markowski.

Zamroz niechętnie podyktował swój numer. Gdy Krzysztof zadzwonił, nie odebrał, tylko utworzył nowy kontakt i powiedział:

– Powodzenia. Idę do siebie. – Nie czekając na odpowiedź, wszedł do jadalni, a potem po schodach do pokoju.

Z nadzieją, że przynajmniej przez kilka godzin nikt nie będzie mu przeszkadzał, usiadł przed komputerem. Uchylił okno, aby nie tylko widzieć, ale również słyszeć, co się dzieje przed wejściem do Strzygonia. Zobaczył, jak Markowski

oddalił się wolnym krokiem. „Dziwny facet z niego. Byłem pewien, że pojedzie samochodem”, pomyślał i pokręcił głową. Otworzył plik Worda, przeczytał po cichu ostatni akapit. „OK”, podsumował i napisał pierwsze zdania kolejnego rozdziału:

*Śmierć słynnego Marka Kolsky'ego rozpalita wszystkich dziennikarzy zajmujących się autosportem. Bez końca spekulowano na temat przyczyny wypadku. Publikowano dziesiątki bardziej lub mniej prawdopodobnych teorii. Jednak tylko dwie osoby znały prawdę. Jedna nie żyła, druga milczała.*

Henryk Zamroz wszystkimi zmysłami przeniósł się do świata pisanej powieści. Zostawił opustoszały pensjonat otoczony bagnami i borem. Był teraz w paryskim hotelu Park Hyatt nieopodal placu Vendome. Widział i słyszał, jak Eva, siostra Marka, obserwując przez okno ruch na rue de la Paix, rozmawia przez telefon. Szybko zapisywał słowa dialogu. Mocne stukanie w drzwi zdekoncentrowało go i ściągnęło z luksusowego apartamentu do skromnego pokoju w Strzygoniu. Spojrzał na zegarek. Z radością odnotował, że pisał niemal przez cztery godziny. „Pewnie Polina z kolacją”, pomyślał i otworzył drzwi. Przed nim stał Krzysztof Markowski. Wyglądał koszmarnie. Z krótkich włosów spływały mu na twarz strużki potu, znacząc wyraźne ścieżki na zakurzonych policzkach. Zmierzchało, a żarówki w pokoju i na korytarzu były słabej mocy, ale Henryk miał wrażenie, że pod lewym okiem Markowskiego rośnie spory siniak.

– Dzwoniłem, ale nie odbierałeś! – Krzysztof uniósł głos z wyraźnym wyrzutem. – Umawialiśmy się.

– Wyciszyłem aparat. – Zamroz poczuł złość, że się tłumaczy. – Gdyby przyszła, to pewnie zobaczyłbym i zadzwonił do ciebie. Jestem dosyć zajęty...

– Już nakryte do kolacji. Zejdźmy i porozmawiajmy. Proszę.

– Zaraz zejdę, tylko...

– Proszę, teraz! – Markowski zrobił minę, która była płacziwa, ale brzmiał wyjątkowo stanowczo, wręcz groźnie.

– Dobrze. – Zamroz po raz kolejny zrobił coś, na co nie miał najmniejszej ochoty, i czuł, że popełnił błąd.

Zeszli do jadalni. Gospodyni ustawiała półmiski z wędlinami i serem.

– To ile dać talerzy? – zapytała, przenosząc spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego.

– Dwa – odpowiedział Markowski.

– A nie trzy? – Zamroz spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Rozumiem, że Katarzyna nie odezwała się, ale może wróci na kolację.

– To ile ma być? Dwa czy trzy? – Polina oczekiwała konkretnej informacji. – Piśmiennikowi nie dawać do pokoju?

– Zjem tutaj... – Zamroz powiedział z rezygnacją.

– Kasia jeszcze nie wróciła. – Markowski obrócił się do Poliny. – Nie wiem, czy będzie na kolacji.

– Znaczący się trzy talerze – zdecydowała Polina. Złączyła kciuk, palec wskazujący oraz środkowy prawej ręki i uczyniła znak krzyża, zaczynając od prawego ramienia. – Jak nie wróci do nocy, to znak, że ze strzygoniem poszła.

– Z jakim Strzygoniem? Właścicielem pensjonatu? – Markowski spojrzał na Zamroza. – Jesteśmy w Strzygoniu...



Henryk tylko przewrócił oczami i westchnął.

– Strzygoń to strzygoń, a nie żaden właściciel. – Polina spojrzała na Markowskiego. – Pewnie go naszło, a jurny jest, zaciągnął tę jego do lasu i dzieci narobił. A pewnie i krew wypił.

– Coś na ciepło będzie na kolację? Drób może? – Zamroz przypomniał sobie krwawiącą kurę.

– Nie. Dla nich to już wszystko jest. – Polina wzięła się pod boki i wyciągnęła brodę w stronę stołu. – A to nie smakuje? A może za mało?

– Znakomite, tak tylko pytam... – Zamroz poczuł się nieswojo.

– Ja nadal nie rozumiem, o co chodzi z tym strzygoniem! Proszę mi wyjaśnić. – Markowski po raz kolejny bezradnie rozejrzał się dookoła. – Co to ma wspólnego z Kasią?

– Jak się dom wampirem nazywa, to nie może być dobrze. Przestrzegalam, ale nikt starej nie słuchał. – Polina wyjęła kieliszki i bimber z kredensu. – Też się napiję. Bo coś czuję, że kurza krew strzygoniowi nie wystarczy...

Nalala i wszyscy wypili jednym haustem. Markowski z trudem złapał oddech, wziął ręką plaster szynki i szybko zagryzł. Zamroz odetchnął głęboko. Polina, jakby wypila wodę, tylko schowała kieliszek do kieszeni fartucha i powiedziała:

– Talerze i czaj przyniosę.

Kiedy zniknęła w kuchni, Markowski pochylił się do Zamroza i zapytał cicho:

– Myślałem, że strzygoń to nazwisko, a to jakiś wampir. Co za bzdury! Chyba nie zabiła kury dla tego strzygonia. Guśła i przesady!

– Właściciel, według moich informacji, ma zupełnie inne nazwisko. – Zamroz postanowił oświecić Krzysztofa. – Strzeż się ciąży, strzygoń krąży.

– Co takiego? – Markowski sprawiał wrażenie kompletnie skołowanego. – Co powiedziałaś?

– Nie ja. To Janusz Głowacki. Ten pisarz. – Zamroz zaśmiał się głośno. – Bardzo trafne powiedzenie, bo strzygoń to taka męska wersja strzygi. Chłopski wampir. Lubi kielbasę, wódkę i dziewczuchy. Taki swój chłop, ale też od czasu do czasu krew wypija. Cała reszta podobnie jak z wampirami...

– Skąd to wiesz? Od Poliny?

– Nie. – Zamroz się roześmiał. – Wydawca kiedyś chciał, żebym jakiś horror napisał.

– Nie chciałeś?

– Chciałem, ale... – Machnął ręką. – Nieważne. Już wyglądasz na mniej zdenerwowanego zaginięciem żony. Słusznie.

– Myślę, że skoro jej nadal nie ma, a dobrze szukałem w pobliżu – Markowski przelknął ślinę – to pojechała na rowerze do wsi, a stamtąd autobusem, a może stopem do Krakowa.

– Brzmi sensowniej niż historia ze strzygoniem. Chyba się nieźle posprzeczałyście, skoro tak zniknęła. Bez rzeczy wróciłaby do domu...? – Zamroz zamyślił się i utkwil wzrok w Krzysztofie. – Nie moja sprawa, ale spróbowałbym jeszcze zadzwonić. Może naładowała telefon przy jakiejś okazji, to znaczy, jeżeli pojechała stopem, bo chyba za wcześnie, żeby już była w Krakowie.

– A może ten facet ją zawiózł? Może jest z nim?

– Kto? Roman?

– Tak, też nie odbiera i chyba nie ma tej jego nivy. – Markowski potarł skronie.

Zamilkli, gdy wróciła Polina z talerzami i herbatą. Popatrzyła na nich surowo.

– Niech Polina napije się z nami, proszę. – Zamroz uniósł kieliszek. – Roman już wrócił?

– Ja tam nie wiem. Na burzę idzie, to może wrócił – odpowiedziała, napełniając trzeci kieliszek. Wypiła i wyszła.

Przez chwilę Zamroz i Markowski jedli w milczeniu. Obydwu dopisywał apetyt. W przypadku człowieka, którego żona zniknęła bez śladu, było to dosyć zastanawiające.

– Te wędliny są doskonałe – skomentował Markowski. – Polina sama je robi?

– We wsi kupuje. – Henryk sięgnął do kieliszków. Zanim nalał, za oknem rozległ się grzmot. – Miała rację. A według mnie nic nie zapowiadało burzy.

Po kolejnym grzmocie rozpadał się rzęsimy deszcz. Duże krople czyniły taki hałas, że z trudem usłyszeli pracujący silnik samochodu przed pensjonatem. Henryk opróżnił swój kieliszek i podszedł do okna. Z lekką zwłoką to samo zrobił Markowski. Stanął za plecami Zamroza, jakby chciał się przed czymś schować. Ciemnozielona łada niva Romana szerokim łukiem podjechała pod dawną stodołę. Gdyby nie charakterystyczne, ceglaste plamy farby antykorozyjnej na błotnikach, mogłoby nie rozpoznać samochodu. Tylna kłapa nie była domknięta. Z bagażnika wystawało coś, co przypominało koło roweru. Zza kierownicy wysiadł mężczyzna szczelnie okryty jaskrawożółtą przeciwdeszczową peleryną z kapturem. Założyli, że jest to Roman. Obszedł

samochód, wyjął rower i wstawił do warsztatu mieszczącego się w stodole. Zamknął bagażnik i wrócił za kierownicę. Przy akompaniamencie grzmotów podjechał niemal pod sam ganek. Otworzyły się drzwi pasażera. Z samochodu wysiadła Katarzyna. Odchyliła oparcie fotela i z tylnej kanapy wysunęła się zgarbiona postać, cała okryta kocem. Zanim osłupiali Zamroz i Markowski odsunęli się od okna, troje nowo przybyłych weszło do jadalni. Pierwsza Katarzyna Markowska w przemoczonym i rozdartym trykocie do jazdy na rowerze. Mokre włosy oblepiały ściśle jej głowę. Woda spływała na twarz brudną od ziemi. Katarzyna zaciskała usta i zabijała wzrokiem. Była wściekła. Energicznie ruszyła w stronę schodów.

– Kasiu...! – zawołał Krzysztof.

– Spierdalaj! – wyrzuciła z siebie i wbiegła na piętro.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi. Markowski, zamiast pobiec za żoną, przeniósł wzrok, podobnie jak Zamroz, na Romana. Mężczyzna ściągnął pelerynę, strzepnął wodę i powiesił okrycie na drewnianym kołku. Podprowadził postać w kocu do stołu i posadził w miejscu najbardziej oddalonym od nakryć Markowskiego i Zamroza. W drzwiach kuchni stanęła Polina. Pokiwała głową i zniknęła.

Zanim goście zdążyli o cokolwiek zapytać, Polina wniosła na tacy wazę z zupą i trzy talerze. W ciszy napłynęła dwa i postawiła przed Romanem i tajemniczym przybyszem.

– Rosół. Tylko powoli je. Uważa, bardzo gorący. – Nalęła zupy do trzeciego i z tacą w rękach wolno wspięła się na schody.

Nieznamy zsunął koc z ramion. Ukazała się umazana błotem młoda twarz. Włosy skrywała chusta, spod której wy-

suwały się mokre, ciemne kosmyki. Czarne, błyszczące oczy nerwowo omiotły Henryka i Krzysztofa. Na chwilę zatrzymały się na talerzu parującej zupy, a potem wbiły się w Romana, który powiedział:

– Rosół. Kura. – Zgiął ręce, lekko wyciągnął przed siebie i kilkakrotnie łokciami dotknął żeber. – Ko, ko, ko. Kura, kura.

Dziewczyna, na co wskazywały długie, zakręcone rzęsy oraz połamane, ale wciąż ze śladami lakieru paznokcie, sięgnęła po łyżkę. Jadła wolno, nie podnosząc wzroku. Milczała. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsały dreszcze. Była raczej drobna. Jakkolwiek luźne dresowe ubrania nie pozwalały ze stuprocentową pewnością tego stwierdzić. Mogła mieć kilkanaście, jak i dwadzieścia parę lat. Zamroz poczuł się jak gospodarz. Wziął z kredensu kieliszek. Postawił przed Romanem i napełnił. Następnie zrobił to samo ze swoim i Krzysztofa.

– Za szczęśliwy powrót pani Markowskiej. – Wzniósł toast i wszyscy wypili do dna. – Oświecisz nas, to znaczy powiesz, co się wydarzyło, co się dzieje?

– Później. – Roman pochylił się nad rosółem.

– Jak zje, to niech przyjdzie. Kipień w balii jest – doszedł z góry głos Poliny.

Zamroz domyślił się, że chodzi o gotową gorącą kąpiel dla niespodziewanego gościa. Wanna była tylko w jednym ze środkowych pokoi. Rzeczywiście, gdy dziewczyna odłożyła łyżkę, Roman ujął ją pod ramię i zaprowadził na górę. Wyrażnie się zaniepokoiła, ale bezwolnie poszła.

– Nie idziesz do żony? – Zamroz zwrócił się do Markowskiego. Wziął do ręki butelkę bimbrowa i spojrzął pytająco.

– Jak myślisz, kim jest ta dziewczyna? – Krzysztof zignorował pytanie. Wyciągnął rękę z kieliszkiem.

– Jak to kim? Widać, że z Bliskiego Wschodu. Przecież jesteśmy o rzut kamieniem od granicy, przy samym pasie stanu wyjątkowego. Nie wiedziałaś?

– Muzułmanka...

– Niektórzy Arabowie są chrześcijanami. Nawet znałem kiedyś prawosławną Irakijkę, ale to inna historia. – Zamroz uśmiechnął się do wspomnień. – Jednak sądząc po pantomimie Romana, nasz niespodziewany gość jest muzulmanką i nie je wieprzowiny.

– Ciekawe... – Markowski sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Ty naprawdę nie chcesz iść do żony? – Zamroz zapytał z większą irytacją, niż chciał. – Ta wasza sprzeczka, jak powiedziałaś, musiała być bardzo... intensywna.

– Tak, chyba powinienem iść...

Doszedł do nich fragment dialogu między Katarzyną i Poliną:

– Ona nie ma co włożyć na grzbiet. Nawet buty się rozlatują.

– Rozumiem, zaraz...

Dalszą część rozmowy zagłuszyły ciężkie kroki Romana. Niósł zwinięte ubranie i rozlatujące się adidas-y młodej Arabki.

– Spalę, z tego już nic nie będzie – westchnął. – Ona cicho będzie. Słaba. Zaraz zaśnie. Nie będzie przeszkadzać. Tylko jedną noc.

– Cały czas leje. Napijmy się i opowiedz, jak to się stało, że wszyscy się spotkaliście i razem wróciliście do Strzygo-

nia. – Zamroz czuł już lekki zawrót głowy, ale nalał każdemu do kieliszka. – Pan Markowski nawet nie śmie zapytać, co działo się z jego żoną.

– Zmęczony jestem, a jeszcze muszę sprawdzić chałupę. Taka ulewa, że wszystko może zalać. – Roman wypił i włożył pelerynę. – Polina z nią posiedzi, żeby czegoś głupiego nie zrobiła.

– Szkoda, nie lubię nie wiedzieć. – Henryk nie ukrywał niezadowolenia, ale nie miał dużego wpływu na Romana.

– Niech pana żona powie, co i jak było. – Roman zwrócił się do Markowskiego i wyszedł z pensjonatu.

Przez szum deszczu doszedł odgłos rozrusznika, potem pracującego silnika, a na koniec oddalającego się samochodu.

– Albo mi powiesz wszystko, czego nie mówisz, albo idę do siebie i nie zawracaj mi więcej głowy ani małżeńskimi sprzeczkami, ani znikającą żoną. – Zamroz do jednej ręki wziął butelkę z resztką bimbrowa, a do drugiej kieliszek. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wrócił do pokoju. „Skąd Polina wiedziała, żeby nagotować rosół?”, pomyślał. „Może dla Romana i dla siebie przygotowała”.

# NOC PIERWSZA

## 2

Katarzyna Markowska weszła do pokoju. Oparła się o drzwi. Drżała na całym ciele. Nie czuła zimna ani mokrego ubrania. Jej dreszcze były odpowiedzią na przeżycia dzisiejszego dnia, upustem dla wściekłości i bezsilności. Wytarła łzy. Zsunęła ze stóp zabłocone jaskrawożółte buty Shimano do jazdy na rowerze. Na podłogę zrzuciła rękawiczki, trykot, skarpety i figi. Przeszła do łazienki urządzonej jak w pięciogwiazdkowym hotelu, a nie w stojącym na bezludziu Strzygoniu. Weszła pod prysznic. Przesunęła dźwignię maksymalnie w prawo. Po chwili z deszczownicy na jej drżące ciało popłynął ukrop. Chciała zmyć i wyparzyć dzisiejszy dzień. Głowę wysunęła spod strumienia gorącej wody. Czuła, że za chwilę delikatna skóra czaszki odejdzie od kości. Drzwi do łazienki zostawiła uchylone i pomimo szumu wody usłyszała stukanie do pokoju. Zamknęła kran, owinęła się ręcznikiem. Zostawiając mokre plamy na podłodze, doszła do drzwi.

– Słucham? – zapytała i uświadomiła sobie, że nie zamknęła się na klucz.

– Ona nie ma co włożyć na grzbiet. Nawet buty się rozlatują – dobiegło zza drzwi.

– Rozumiem, zaraz coś przygotuję. – Katarzyna wpuściła Polinę. Otworzyła szafę i rozejrzała się po zawartości. Miała ze sobą całkiem sporo ubrań. Pokręciła głową z niezadowolaniem. Otworzyła szufladę i wyjęła jeden ze swoich



dresów złożonych w kostkę i dwa T-shirty. Całość położyła na wyciągniętych rękach Poliny.

– Jeszcze to. – Z drugiej szuflady wyjęła kilka par majtek i skarpet. Położyła równo na podkoszulkach. Zatrzymała gestem Polinę. Z łazienki przyniosła paczkę tamponów i wsunęła między ubranie. Z nieśmiałym uśmiechem powiedziała: – Bez stanika się obejdzie, a to może się przydać.

Polina nadal nie wychodziła. Brodą pokazała na leżące na podłodze shimano.

– Jasne! – Katarzyna klepnęła się w czoło. Wyjęła z szafy niemal nieużywane conversy oraz basenowe klapki. Umieściła to na szczycie swoich darów dla nieznajomej dziewczyny.

Polina skinęła głową i odwróciła się do drzwi. Katarzyna ją wypuściła. Z ulgą wróciła do łazienki. Przez kilka minut szczotkowała zęby. Starła się nie patrzeć w lustro. Nie wiedziała, co zobaczy. „Jutro, wszystko jutro”, pomyślała. Zrzuciła ręcznik i weszła do łóżka. Okryła się lekką koldrą i kocem. Zawsze spała nago, niezależnie od sytuacji. Nawet dzisiaj. Zamknęła oczy. Za oknem rozległ się kolejny grzmot. Dotarło do niej, że nie wyłączyła górnego światła. Zmebla w ustach przekleństwo, wstała i przekręciła kontakt. Szum deszczu był coraz głośniejszy. Podeszła do okna. Zobaczyła Romana wsiadającego do nivy. Błyskawica rozświetliła podwórze. Katarzynie wydało się, że właśnie wtedy, zanim wsiadł do samochodu, Roman spojrzął do góry, na nią. Odruchowo odsunęła się i zaciągnęła zasłony. Po ciemku wróciła pod koldrę. Przez kilkanaście minut przewracała się z boku na bok. Poziom adrenaliny wciąż był wysoki. Do tego potęgowany budzącymi grozę odgłosami burzy. Co chwilę wracał do Katarzyny obraz Romana w pelerynie z kapturem, rozświetlone-

go przez błyskawicę. „Co to jest? Co się dzieje?”, kołatało jej w głowie. „Zupełnie jak w kiczowatym horrorze”. Sen nie przychodził. Zmęczona bezsennością, usłyszała, że uchylają się drzwi do pokoju. Nawet nie otworzyła oczu. Było jej obojętne, czy przyszedł do niej Drakula, Freddy Krueger, czy też Hannibal Lecter.

– To ja – usłyszała szept.

Pilnowała, żeby równo oddychać i nie drgnąć.

– Śpisz? – Pytanie było niemal niesłyszalne.

Zapadła cisza. Krzysztof nie poszedł do łazienki. Wyczuła, że ją obserwuje. „Na szczęście nie włączył światła”, pomyślała. Po kilkunastu, a może kilkudziesięciu sekundach, nie była pewna, wyczuła, że Krzysztof, wolno stawiając kroki, doszedł do sofy pod ścianą. Nie rozłożył jej. Musiał się położyć w ubraniu. Nie słyszała też, żeby ściągał buty. Zaskakująco szybko do jej uszu dotarł równy, niczym niezakłócony oddech. Krzysztof spał. „Niesamowite, albo się upił, albo to on...”, nie chciała dokończyć myśli. Powoli zmęczenie brało górę nad emocjami i zapadła w niezdrowy sen. Co chwilę budziły ją koszmary, które przechodziły we wspomnienia na jawie. Utknęła między pamięcią rzeczywistych zdarzeń a sennymi widziadłami. Już nie wiedziała, co się wydarzyło, a co jest wytworem zmęczonego i oszołomionego mózgu.



*Krzysztof wyprzedził ją i zajechał drogę. Omal nie spadła z roweru.*

*– Czy ty naprawdę nie masz siły?! – wyszczał z wyrzutem. – W takim tempie nie mamy po co jechać do obozu. Chyba że zamierzasz tam nocować?*

*„Z tobą nie chcę dojechać, a sama chętnie przenocuję”, pomyślała, ale zignorowała jego pytanie. Wzruszyła ramionami i powiedziała:*

*– Mistrz dwóch kółek się znalazł. – Odepchnęła się od podłoża i zakręciła pedałami. Niemal się przewróciła, omijając Krzysztofa stojącego w poprzek ścieżki. Spróbował złapać za kierownicę jej roweru. Nie udało mu się. Przejechała obok. Zanim on przestawił rower w kierunku jazdy, Katarzyna już nabierała prędkości. Była pewna, że mu ucieknie. „Tylko co dalej, co dalej?”, myślała gorączkowo. Na podjeździe zbyt późno zmieniła przełożenie. Zgubiła rytm. Krzysztof zrównał się z nią.*

*– Co ty wyczyniasz? – spytał lekko zasapany. Leśna droga była na tyle szeroka, że mogli jechać obok siebie.*

*– Odwal się! Mam cię dość! Nie mam już siły. Zostaw mnie. – Zwolniła. – Słyszysz, zostaw mnie!*

*Minęli szczyt wzniesienia. Przestali pedałować, jechali rozpedem. Mogli odpocząć. Krzysztof wykorzystał moment, że jadą równolegle, i kopnął ją. Ból w lewym udzie nawet nie był zbyt dotkliwy, ale straciła równowagę i się przewróciła. Bardziej zabolaty ją prawa ręka i noga, które przyjęły całą siłę upadku. Znalazła się w gestych krzakach. Gałęzie boleśnie podrapały jej twarz, przedramiona i tydki. Wygramoliła się spod roweru. Wróciła na drogę. Z uściekłością zdjęła kask i rzuciła go daleko w zarośla. Krzysztof stał nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od niej. Przyglądał się.*

*– Jedziesz czy nie? – W jego głosie było coś okrutnego.*

*Pojechata, ale w przeciwną stronę. Po kilkuset metrach zorientowała się, że nikt za nią nie jedzie. Była pewna, że Krzysztof*

też zawrócił. Przecież nie mógł jej tak zostawić. Nawet nie zapytał, czy jest cała. „Zdenerwował się, ale zaraz mnie dogoni”, pomyślała i zwolniła. Czula zadrapania i trochę bolała ją noga. Przede wszystkim bardzo chciała, żeby ją dogonił, żeby przeprosił i pokazał, jak się troszczy. Stałym tempem pedałowała przez około piętnaście, dwadzieścia minut. Wcześniej jechali ponad dwie godziny. Była pewna, że do szosy, a tym bardziej Strzygonia, jest wciąż daleko.

„Nie pomyślałaś o mnie, to teraz pożałujesz”, postanowiła. „Zobaczymy, jak bardzo będziesz się denerwować. A jeżeli w ogóle nie, to spadaj”. Zatrzymała się i rozejrzała. Oparła rower o drzewo i zeszła z drogi. Słyszała, że po tej stronie szosy nie ma mokradel, ale wolą ją sprawdzić. Ułamała sporą gałąź i zaczęła badać ziemię przed sobą. Posuwała się wolno, bo patrzyła pod nogi, jak i starała się znaleźć dogodne miejsce do ukrycia. Odeszła na jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Znalazła odpowiednią kępę drzew i krzewów. Na tyle gęstych, żeby schować rower, a jednocześnie pozwalających obserwować drogę. Wróciła po krossa hexagona. Na szczęście góral był grafitowy i łatwo dał się zamaskować. Stała za pnem i czekała na Krzysztofa. Chciała zobaczyć, jak jedzie drogą, szuka jej nerwowo i woła drżącym głosem. Postanowiła, że pozwoli mu przejechać. Pojedzie za nim, ale w takiej odległości, żeby jej nie widział i nie słyszał. Pozwoli mu dojechać do Strzygonia i niech tam stwierdzi, że jej wciąż nie ma. „Oby nie dostał zawału”, rozmarzona podsumowała swoje wizje. Jednak Krzysztof się nie pojawiał. Zaczynała się niepokoić. „A co, jeżeli nie zawrócił, tylko pojechał do obozu? A może coś mu się stało?”, natrętne pytania nie były jedynym powodem ro-

snącego zdenerwowania. Dopadło ją dziwne przekonanie, że jest obserwowana. Nic konkretnego, ale niemal czuła ciężar czyjś spojrzenia na swoim karku i plecach. Kilka razy rozejrzała się niepewnie. W oddali trzasnęła jakaś ulamana gałązka. „Wariatka, to przecież kompletne odludzie. Nikogo tu nie ma”, uspokajała się w myślach. „No właśnie, odludzie, wśród ludzi bezpieczniej...” Postanowiła policzyć do dwustu i nawet jeżeli Krzysztof nie przejedzie drogą, wracać do Strzygonia.

– Sto sześćdziesiąt dwa – wyszeptała niemal bezgłośnie.

Następna liczba już nie została wypowiedziana. Mocne dłonie zacisnęły się na jej gardle. Ktoś zaatakował ją od tyłu. Próbowala się unieść i wyrwać, uderzyć ręką napastnika. Nic z tego. Był bardzo silny. Bez trudu trzymał ją w pozycji siedzącej. W końcu zaczęła słabnąć. Bezskutecznie próbowała złapać oddech i na koniec odpłynęła w ciemność.

# DZIEŃ DRUGI

## 3

Katarzyna nie była pewna, czy się obudziła, czy też tylko przestała myśleć i odtwarzać zdarzenie w lesie. „Chyba jednak spałam, skoro mam zamknięte oczy”, pomyślała. Do jej uszu dochodził jednostajny szum deszczu. Uniósła powieki. W pokoju panował półmrok. Mogło być wcześniej rano, jeszcze przed świtem, ale równie dobrze mógł to być tylko efekt zasłoniętych okien i chmur na niebie. Na tle ściany dostrzegła kontur Krzysztofa siedzącego na sofie. Z pewnością już nie spał. Poczowała jego wzrok.

– Która godzina? – zapytała.

– Piętnaście po siódmej dochodzi. – Wstał i zbliżył się do łóżka. – Jeszcze możesz spać. Powiem Polinie, że zjemy w pokoju.

– Nie chcę spać. – Usiadła na łóżku. – Chcę wracać. Od-słoń okno.

– Dokąd chcesz wracać? Przecież nie mamy dokąd...

– Nie my! – Wstała gwałtownie. – Ja chcę wracać. Sama. Ty możesz zostać.

– Nie krzycz. – Złapał ją za ramiona i spróbował przytulić. Odepchnęła go. – Opowiedz mi o wczorajszym dniu, a potem się zastanowimy, co robić dalej.

– Zostawiłeś mnie... Uderzyłeś i zostawiłeś... – załka-ła. – Jesteś nikiem.

– Dzwoniłem, nie odbierałaś. Szukałem, nigdzie cię nie było.

– Tak?

– Tak. Nawet prosiłem Zamroza, żeby zadzwonił na policję, sam nie chciałem, ale tego nie zrobił...

– Głupi jesteś – przerwała mu. – Dobrze, że cię nie posłuchał.

– Dlaczego nie odbierałaś?

– Nie wzięłam telefonu. Był rozładowany. Zostawiłam w pokoju, żeby się ładował. Wyciszony.

Krzysztof rozsunął zasłony. Jednocześnie spojrzeli na aparat leżący na szafce nocnej.

– Powiesz mi, co się wydarzyło? – Wrócił na sofę. Usiadł, opierając ręce na kolanach i pochylając tułów.

– A co, nie wiesz? To nie ciebie spłoszył Roman? – Rzuciła na łóżko walizkę na kółkach.

– Co ty mówisz? Dlaczego miałby mnie ktoś spłoszyć? Wytłumacz mi.

– Myślę, że dobrze wiesz. Chcę wracać. Zawieź mnie do wsi albo poproś Romana.

– Zawiozę cię do Krakowa, gdzie zechcesz, tylko mi powiedz, co się wydarzyło.



*Ocknęła się. Już się ściemniało. Kilka metrów przed sobą zobaczyła mężczyznę w ubraniu roboczym. Chciała się odezwać, ale tylko poczuła ostry ból gardła. Dotarło do niej, dlaczego leży w lesie. Jednak nie wiedziała jak długo. „Czyżby to on mnie dusił?”, pomyślała i ogarnęło ją przerażenie. Zmrużyła oczy, wy-*

ostrzyła obraz, rozpoznała Romana, człowieka od wszystkiego ze Strzygonia. Patrzył na nią równie zdziwiony, co ona. Nie był sam. Na rękach kogoś niósł. Nie była pewna, czy to dziecko, czy drobny dorosły. Nie wstając, wciąż siedząc, odpychając się stopami i dłońmi, zaczęła się wycofywać. Z gardła wydobyła najpierw charkot, potem zawołała:

– Ratunku.

Głos był zaskakująco słaby i cichy. Roman zatrzymał się. Położył delikatnie niesioną osobę i podszedł do Katarzyny.

– Proszę się nie bać – powiedział i ukłękął koło niej. Przytrzymał za ramiona, żeby nie pęzła dalej.

– Co jej zrobiliś? Co mnie zrobiliś?! – Głos Katarzyny odzyskiwał normalne brzmienie.

– Nic. Znalazłem. – Wstał i podał dłoń. – Trzeba jej pomóc, źle z nią. Mam samochód, blisko. Zaraz będzie burza. Chodźmy.

Na potwierdzenie słów Romana zagrzmiało. Podala mu rękę i z trudem wstała. „Czyli to kobieta”, pomyślała, patrząc na leżącą postać.

– Miałam rower. – Rozejrzała się. – Tam jest.

– Zmieści się do samochodu. – Roman wziął dziewczynę na ręce i ruszył do przodu. Bezbłędnie odnajdywał szersze przejścia między gęstymi krzewami.

Katarzyna, widząc, z jaką troską i delikatnością mężczyzna obchodzi się z chyba nieprzytomną nieznaną, nabrała zaufania. Poczula się bezpiecznie.

„Kto mnie dusił? Może Krzysztof? Zaszedł od tyłu i chciał nastraszyć. Tylko nastraszyć?”, przyszło jej do głowy niepokojące pytanie.



– Kim ona jest?

– Nie wiem. – Roman nawet się nie odwrócił. – Nielegalna pewnie.

„Dlaczego nie pyta, co mi się stało? Dlaczego nie pyta o Krzysztofa?”, kolejne myśli jeszcze bardziej ją zaniepokoiły. „Musiał widzieć Krzysztofa. Spłoszył go”.

Szli w milczeniu. Na drodze mogła prowadzić rower równoległe do Romana, coraz bardziej sapiącego ze zmęczenia.

– Może zwolnimy? – zaproponowała. – Musi ci być ciężko.

– Dam radę. Zaraz będzie ulewa. – Roman przyspieszył.

Zauważyła, że dziewczyna jest przytomna. Miała otwarte oczy. Jednak patrzyła albo gdzieś w dal, albo w głąb siebie. Z pewnością miała gorączkę.

– Może posadzimy ją na siodelku i będziemy podtrzymywać? – Zatrzymała się.

– Niech się pani nie zatrzymuje. Do mojej nivy niedaleko, ale zmoczy nas do skóry, jak się zatrzymamy.

Poczuła się winna, że mówiła do Romana przez „ty”.

– Katarzyna jestem.

Tylko kiwnął głową, co odebrała jako zgodę, aby mówić do niego po imieniu.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytała. – Widziałeś coś? Kogoś?

– W borze byłem. To dziecko znalazłem. Przypadek.

– Po co byłeś w lesie?

Potężny grzmot zagłuszył jej słowa. Lunęło. W strugach deszczu pokonali kilkadziesiąt metrów i dotarli do starej nivy. Roman jakimś cudem, z dziewczyną na rękach, otworzył drzwi od strony pasażera i odchylił oparcie. Położył ją delikatnie na tylnej kana-

pie, przesunął przedni fotel. Z siedziska wziął przeciwdeszczową pelerynę i założył na siebie.

– Proszę usiąść. – Wskazał Katarzynie miejsce. – Ja zalamuję rower.

Włączył silnik i nastawił ogrzewanie na pełną moc. Działo bardzo dobrze i po chwili wewnątrz lady wypełniło się ciepłym powietrzem i zapachem benzyny. Po kilku minutach Roman umieścił rower w bagażniku. Jednak kłapa musiała pozostać otwarta.

– Powiesz mi, co widziałeś? – Po chwili ciszy Katarzyna wróciła do pytań. – Krzysztofa?

– Widziałem, że kłpnął. Trzeba małą ogrzać i dać jeść. Słaba strasznie. – Nie odrywał wzroku od drogi, która była ledwo widoczna za ścianą wody.

– Nie lepiej od razu pojechać do szpitala albo wezwać pogotowie?

– Nie ma czasu. Leje coraz bardziej. Polina wie, co robić.



Gdy zeszli do jadalni, ze zdziwieniem zobaczyli Zamroza z apetytem pałaszującego jajecznicę na boczku. Zagryzał wielką pajdą czarnego chleba i popijał kawą z dużego kubka.

– Dzień dobry. – Wstał i pokazał miejsca koło siebie. – Polina jest na górze z naszym niezapowiedzianym wczorajszym gościem, ale na stole jest wszystko. Kawy może już być mało... Pewnie Polina zaraz zejdzie.

– Wyjeżdżamy zaraz – zakomunikował Markowski bez słowa przywitania.

– W taką pogodę? Rozumiem, że coś pilnego. – Spojrzał na Katarzynę.

– Tak, coś pilnego. W końcu – odpowiedziała, siadając przy stole. – Nie wszystkim tak dobrze w Strzygoniu jak panu.

– Wczoraj z pani mężem wypiliśmy bruderszaft. Proszę mówić mi po imieniu – zignorował jej uwagę.

– Katarzyna. – Skinęła głową i sięgnęła po biały ser i pomidory.

– Czy też nie macie zasięgu? – Zamroz postukał palcem w smartfon leżący na stole.

– Rzeczywiście, nie ma. – Markowski spojrzał na Katarzynę. – A ty masz?

Z westchnieniem wyjęła swój aparat i pokręciła głową.

– Pewnie przez burzę... – Henryk przerwał na widok wchodzącego Romana, który ociekał wodą, jakby zszedł z pokładu kutra rybackiego w czasie sztormu. – Telefony nie działają. Jakaś awaria?

– Dobrze, że prąd wciąż jest. Straszna nawałnica. – Roman zdjął pelerynę. – Strzygoń cały, ale wiatr parę drzew zламаł. Zaraz koło chałupy.

– Kończ i jedźmy już – powiedziała Katarzyna do Krzysztofa.

Roman zatrzymał się w połowie drogi do kuchni.

– A dokąd to? Jeżeli mogę spytać.

– Do siebie. – Markowski zrobił dziwny grymas. – Musimy wracać. Będę wdzięczny za pomoc przy załadowaniu rowerów, no i chciałbym zapłacić.

– Rowery przypnę na dach, ale ja bym nie jechał. – Ro-

man podrapał się po brodzie. – Droga pewnie nieprzejezdna. Jak tutaj powaliło drzewa, to na drogę pewnie też. Jeszcze się gdzieś zakopiecie, woda stoi...

– Mam napęd na cztery koła... – powiedział Krzysztof bez przekonania.

– Ja bym nie jechał...

– Jedziemy. Zaraz jedziemy. – Katarzyna przerwała dyskusję.

Roman przyjął pieniądze od Krzysztofa i wyszedł zamocować rowery do relingów toyoty. Markowscy poszli po rzeczy. Na schodach minęli schodzącą z góry Polinę.

– Co z nią? – zapytała Katarzyna.

– Zjadła i śpi. Zrobić jeszcze kawy? – Pytanie skierowała już do Zamroza.

– Oczywiście.